№ 26 WARSZAWA d. 15 (27) Czérwca ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15 – w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; – W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PAŁAC I CHATA.

z Petoefiego.

Czemuś pałacu tak podniósł czoło,
Blask twego pana w pychę cię wzbił?
On się w klejnoty przybrał w około,
By napaść serca pod niemi skrył.
Strąć mu łudzące z bark te mamidła,
Wdziane nań ręką najemnych sług,
Zostanie tylko miłość obrzydła,
Tego nie dojrzeć co stworzył Bóg!

* * *

Gdzież pan twój zdobył skarbów do syta,
Co go nad tłumy dźwignęły tak?
Tam kędy w szpony ptaszynę chwyta
Krwią jej utuczon drapieżny ptak!
O! sęp hulaszcze wyprawia gody,
Gdy tuląc główki pod krzewów cień,
Płacze w gniazdeczku rój ptasząt młody:
Matka nie wraca już mija dzień!

* * *

Pyszny pałacu, błyszcz-że ty chwilę
Łupem wydartym sierocie błyszcz!
Ujrzę niebawem starzane w pyle
Ze ścian twych kupy zwalonych zgliszcz.
Bóg pokrzywdzonej mściciel ludzkości,
Spuści z niebiosów ognisty grom,
Wnet zgruchotane przestępnych kości
Grobowym głazem przywali dom!
Blizko pałacu chatka uboga,
Czemuż tak w ziemię zapadł twój wzrąb?
By skryć twą nędzę wzrósł-że u proga
Z zielonym liściem stuletni dąb?

Otwórz mi wrota biedna ty strzecho
W twym cichym progu wszak miły gość!
Na zacne serca spojrzę z pociechą
A w małych chatkach, serc wielkich dość!

* * *

Witam ze łzami strzechę tu nizką,
Ah! stokroć święty ubogi próg!
Pyszne pałace *wielkich* kołyską
W chacie wybranym dał gniazdo Bóg.
Z chaty ich prosta wiedzie tam ścieżka,
Gdzie niosę braciom ofiarny trud,
Przecież od wieków pod strzechą mieszka
W nędzy, w pogardzie wieśniaczy lud.

* * *

Ubogi ludu! na chmurnem niebie
Dni pogodniejszych świta ci brzask,
Za twardą przeszłość Bóg ma dla ciebie
Zdrój nieprzebranych w przyszłości łask.
Biedni! przed wami ze łzą się korzę,
Bo duch wasz wolny od świata skaz,
Pobłogosławcież mnie w Imię Boże,
Ja błogosławię nawzajem was!

Seweryna Duchińska.

IV.

Dobre dziecko.

Jakkolwiek pojęcie wyrażenia: *dobre dziecko*, zdaje się być tak znanem, że określanie jego uważanem być może za zbyteczne, sądzimy jednak, że w tym razie sąd nasz cokolwiek jest za powierzchowny. Zwykle dobrem nazywamy dziecko grzeczne, usłużne, czułe, tkliwe, posłuszne, chętne do nauki i kochające tych, co je kochają. Przymioty te bez wątpienia są bardzo ważne, i jak w dziecinnym wieku nie można większych wymagać, tylko w rozwijaniu ich poprzestając na tych objawach, zapominamy, że one głównie posługiwać powinny do wszczepiania w dzieci przyszłych cnót obywatelskich, że z tego dziecka dziś dobrego, powinien wyrość z czasem dobry obywatel kraju. Na to jednak z niewielkim wyjątkiem mało dajemy baczenia.

Weźmy mały przykład.

Zerwania w publicznym ogrodzie listka, gałązki kwiatka, deptania po trawniku, lub zapylanie oczów przechodniów nierozważnem bieganiem lub zabawką jaką, dopuszczają się nawet dzieci uznane przez wychowujących je za najlepsze, a jednak tego dobrem nazwać nie można. Nie przeczę, że przez rozsądnych opiekunów są o to karcone, ale zwykle zakaz robienia czegoś podobnego, ogranicz się na prostem oświadczeniu: nie zrywaj kwiatka, nie depcz po trawniku, bo nie wolno i jak cię ogrodnik albo policyant zobaczy, to weźmie do kozy. Nie wznoś pyłu nogami, bo to nieładnie, niegrzecznie, przechodzących pył dusi i przeszkadza im w przechadzce.

Przy baczności przestroga taka skutkuje, dziecię tak zwane dobre, strzeże się ponawiać swego przekroczenia, ale tylko dla tego, że to nie wolno, że może pójść do kozy i że niegrzecznie jest pył wzniecać, gdzie się przechadzają. To nie dosyć, dziecię powinno jeszcze wiedzieć, dla czego to nie wolno robić szkody w ogrodach i pyłem darzyć przechodniów, powinno wiedzieć, że ogród jest własnością publiczną, którą szanować należy, że gdyby każdy przechodzący tylko listek zerwał, pomału nie zostałoby w nim nic, oprócz suchych grubych pni i gołej ziemi, i że tym sposobem najmniejsza szkoda w ogrodzie zrobiona, jest targnięciem się na własność cudzą, jest zatem wielkim występkiem.

Powinno zarówno wiedzieć, że wznoszenie kurzu jest dla tego niegrzecznością, że przechadzający się po ogrodzie, są cząstką całej społeczności, dla dobra której człowiek powinien zawsze zważać na swe czynności, i każdej zaniechać, jak tylko spostrzeże, że ta może komuś szkodę przynieść. Są matki, co jak w tym razie tak i w innych podobnych, wszelkie przestrogi starają się w ten sposób usprawiedliwić, ale czy wszystkie? Jeżeli zaś jednorazowe wyjaśnienie nie pomoże, sto razy je powtórzyć, ponawiać przy każdej innej sposobności, a nie podobna przypuścić, aby pomału nie wpadło się na takie, coby należycie pojęte nie wsiąkło w umysł dziecięcia na zawsze.

W ten-to sposób obok innych wyjaśnień wszystko, co dziecku zalecamy powinno być usprawiedliwiane. Masz być posłuszne starszym, bo człowiek nigdy nie może być samowolnym, dziś ulegasz naszej woli, później ulegać będziesz woli prawa i obowiązkom społecznym. Domagamy się od ciebie poszanowania i miłości, bo to twój obowiązek za opiekę, jaką ci udzielamy: kiedyś tę opiekę udzieli ci społeczność, będziesz więc obowiązany i jej odsługiwać się miłością i poszanowaniem.

Zalecamy ci naukę, bo głupiec ani sobie ani społeczności pożytku żadnego nie daje: zalecamy ci pracę, bo próżniak i sobie i społeczności nieszczęście i hańbę przynosi. Każemy ci dla wszystkich być grzecznym, uprzejmym i wyrozumiałym, bo ludzie to twoi bracia, więc ich winieneś kochać jak braci i obchodzić się jak z rodzeństwem.

Chwalimy w tobie czułość serca dla biedy i nędzy ludzkiej, abyś z czasem jak wyrośniesz, starał się jej zapobiegać: zalecamy ci cześć Boga i poszanowanie przepisów religijnych, bo człowiek bez nich jest jak wędrowiec wśród nocy ciemnej bez światła i przewodnika, i jak jemu zabłąkać się łatwo i zginąć, tak i społeczność przepada, gdy ją nie spaja religijność szczerze pielęgnowana. Społeczności tej jesteś członkiem, winieneś więc starać się, abyś wszystkiemi siłami spójnią tę utrwalał.

Otóż w ten sposób przedstawiane a raczej usprawiedliwiane wszystkie rady i napomnienia, nazywamy dopiero wychowaniem dobrem prowadzonem w kierunku przyszłego obywatelstwa dziecka. Od najmłodszego wieku powinno ono stać się metodą całego postępowania opiekunów, a choć dziecię jedno prędzej, drugie później zdoła poznać właściwe znaczenie podobnych rozumowań, zaniechane być nie powinno. Jak mowy uczymy się nie wiedząc jak i kiedy, tak i pojęcia podobne wnikają w dziecko po jednym wyrazie i po jednej myśli, aż wreszcie należycie zrozumiane, staną się jego naturą.

Ograniczenie się na wyłuszczaniu wyłącznie korzyści spadających na dziecko, z nauki, pracy, posłuszeństwa, czułości, miłości itd. bez łączenia ich z korzyściami całej społeczności, mimowoli utrwala wrodzone ludziom samolubstwo; dziecko wyosabnia, oddziela się niejako od całej społecznej gromady i wdraża się w przekonanie, że dobro własne jest wyłącznym celem jego życia. Tak rozbita społeczność czyż może nazwać się dobrą?

Wprawdzie mimo tak wadliwego wychowania niekażdy zostaje samolubem, ale tylko serca zacniejsze, umysły bystrzejsze zdolne są oprzeć się podobnie zgubnemu wpływowi, zwyczajne jednostki stanowiące massy społeczne, ulegają jego przewadze. Sam olubny charakter tegoczesny nie tylko naszej społeczności, ale całej niemal ludzkości, daje niezbity dowód skutków podobnego wychowania. Było ono prawie powszechnie do samej powierzchowności przywiązane, więc i ludzi mamy powierzchownie dobrze wychowanych, a w gruncie jak najgorzej, bo nie pojmujących solidarności jaka wiąże jednostki z ludzkością.

Powiadają wprawdzie, że cnót obywatelskich nabyć można i później, a nawet rozwijanie ich późniejszemu dopiero właściwe jest wiekowi, jako już umiejącemu się zastanawiać poważniej nad ich ważnością. Na mniemanie to nie zgadzamy się.

Dla dziecka każde pojęcie moralne jest trudnem, a jednak wdrażamy w nie, bez względu czy rozumie czy nie, wstręt do złego, a upodobanie w dobrem, powiadając, że dziecko mając sobie jedno w kółko przedstawiane, nawyka wreszcie do tego, co chcemy w nie wpoić. To samo ma się zupełnie z cnotami i obowiązkami obywatelskiemi. Nie można ich żadnym sposobem pomijać, bo jeżeli wychowanie, w dzieciach wydobywa dobre skłonności a złe przycisza, osłabia a nawet wytrawia, to i na uczucie obywatelskości podobnie oddziaływa. Spory jego zasób uszlachetnia, mały rozwija i tam ocuca nawet, gdzie go wcale nie było.

Zapas więc dobrych chęci dla społeczności powiększa się, mnoży czyny odpowiednie, i społeczność coraz nowszem, pomyślniejszem rozkwita życiem. Gdy zaś baczność przy wychowywaniu dzieci na rozwój uczucia obywatelskiego jest mała, tam w jednostkach niebardzo w nie uposażonych umarza je zupełnie, a zasobniejsze pozbawia zbawiennego wpływu, jaki się otrzymuje przez dobre wychowanie. Ile społeczność na tem traci, łatwo osądzić, a ile już straciła, to wiemy dobrze bez obliczania.

STELLA

POWIEŚĆ

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Dokończenie).

Gdy Stella grać przestała, Podolewski przystąpił do trzech panienek, porozmawiał z nimi uprzejmie, powitał następnie państwa Zebrzyńskich, a potem Stellę, w chwili gdy od fortepianu wstawała.

— Wracam od Adama, rzekł do niej.

— To powiedz nam pan, co porabia,—i wskazała mu miejsce obok siebie.

— Znalazłem go, niestety! źle bardzo, odrzekł Miron głosem stłumionym. Nie czuje on tego, nie zna, lecz myślę, że koniec niedaleki. Młode jego lica dziwnego nabrały powabu, niby łuna z nich bije. Mówił mi, że lekko oddycha, że bólu nie czuje żadnego. „Osłabiony jestem tylko, wymówił niemal radośnie ale siły przecież wrócą”.

— Biedny! poszepnęła Stella ze łzą w oku.

— Poezye Edwarda gorączkowo pochwycił, począł odwracać stronice, zatrzymywał się przy jednej i drugiej, gdy znać rytm więcej mu przypadł, i wpół cicho do każdej melodyą zanucił. „Przytem oczy jego dziwnym świeciły blaskiem, a ręka drżała. Z rozkoszą słuchałem melodyj jego, chociaż zaledwo nuconych pół głosem. Edward i Adam, to bratnie dwa duchy: urodzili się takimi jakimi są, bo poety świat nie zrobi. Jeden wieszczem śpiewa słowem, drugi wdziera się do duszy mową melodyi. O pani mówił wiele, ale nieśmiem tego powtórzyć, dodał Miron z niezwykłem odbrzmieniem głosu, i spojrzeniem, które podobno tyle mówiło, co tamten chory przyjaciel powiedział.

— Czy listy od Elci swojej miewa punktualnie? zapytała Stella lekko zapłoniona. Uczyniła to pytanie, by o czemś innem zagadać, gdyż wiedziała przecie o listach narzeczonej Adama.

— Miewa od niej liścik prawie codziennie dnia każdego, a odpowiada jej zwykle piosenką. Donosi mu ona że zaraz każdą wyśpiewa, a jemu się zdaje, że duchem chwyta śpiew ukochanego dziewczęcia.

— Urocza to istotka, młodziuchna i świeża jak kwiatek, eteryczna i powiewna, pełna wdzięku i anielskiej dobroci. A jakżeż go kocha!

— Biedni oni oboje!

— Ależ ona stokroć biedniejsza... czeka ją sieroctwo serca!

Przysiadł się do nich pan Zebrzyński.

— O czemże mówicie? zapytał.

— O Adamie.

— Znowu smutny przedmiot. Dziś widocznie dzień wrażeń niewesołych... Pogadajmyż o czemś innem. Patrz, Stello, jak mamę obsiadły panie i coś jej tam prawią, że aż uśmiecha się, i my pośmiejmy się trochę. Bóg nie na to świat stworzył, tak piękny, zielony, kwiecisty, słoneczny, by na nim płakano tylko, dziecię moje! *Kto mnie kocha to ho!* powtórzę ze stolnikiem z *Halki*.... Ale patrz, otóż ta młódź, jak gdyby mi dała pożądaną odpowiedź!

Fortepian zadźwiękł skoczną polką, a Michał z Klocią i jakiś drugi młodzik z Brynią, puścili się wesoło po szklistej posadzce. Pan Zebrzyński przyklasnął im w dłonie.

— Śmiech i płacz, śpiew i jęk, śmierć i wesele, wszystko łączy się z sobą! wymówiła Stella.

— Ziemia jest wielką sceną! dodał Miron.

Wiadomość, że panna Laura Warecka jest po deklaracyi z Telesforem Stulinowskim, niebawem nadpłynęła do Źródlisk i pewne wywołała wrażenie. Panny zapytywały: jak też pan Telesfor wygląda, i czyli jest tak bardzo bogatym? Ojcowie obliczali majątek jego, uznając że jest wielkim. Matki twierdziły że panna składa dowód wielkiego rozsądku, skoro taki czyni wybór i na lat różnicę nie zważa.

— Zresztą on wcale przystojnym jest jeszcze, wyrzekła mama Bryni.

— Elegancki, dodała mama Lorci.

Mama tylko Kloci nic nie mówiła, zachowując zdanie swoje dla siebie, ta znać zacofaną była nieco.

VII.

Upłynęło cztery tygodnie od przybycia Mirona, a nie myślał wyjeżdżać, chociaż na dni kilkanaście tylko przyjechał.

Dnia jednego, gdy całe towarzystwo zebrało się na zwykłej przechadzce, jego nie było jeszcze. Panienki i panie, których uwagi nic nie uchodziło, zwłaszcza też przy kąpielowem, *far niente*, poczęły dziwić się temu i domyślać przyczyny tego opuszczenia. Osądziły go jako zakochanego w Stelli; a że były przeświadczone także że panna mu sprzyja, oczekiwano zatem dnia każdego jakiegoś stanowczego wypadku. Gdy więc Stella już od godziny z rodzicami pod kasztanami przechadzała się, a Podolewski nie ukazał się, poczęto różne czynić domniewymania i domysły. Jedna i druga z pań dostrzegły nawet, że Stella *jakoś jest smutna* że niby pobladła, że się zamyśla i jakby kogo wyczekiwała.

Wreszcie nadszedł wyglądany, szybkim krokiem, w opylonem kurzem ubraniu? Ukłoniwszy się z wyrazem twarzy dziwnie ponurym, minął wszystkich pospiesznie i zatrzymał się przed Stellą, która poruszyła się, jakby przestraszona. Potem ujęła matkę pod rękę, i w towarzystwie Mirona ku swojemu poszły mieszkaniu.

— Moja mamo, mówiła Stella idąc, muszę pójść do niego, muszę widzieć go jeszcze..... pożegnać. Wezmę z sobą Honoratkę. Pan Podolewski pójdzie ze mną. Szkoda, że nie ma Michasia bo i onby poszedł.

— Więc pan sądzisz że koniec Adama już tak bliz-ki? zapytała się pani Zebrzyńska Mirona.

— Tak pani, odrzekł. On sam tego nie przypusz-cza, a nawet twierdzi że czuje ulgę zupełną i śmierci nię przypuszcza bynajmniej. Około południa zażądał nawet drugiej szklanki oślego mleka, i kazał się w krześle poręczowem posadzić przy otwartem oknie, oddychał z rozkoszą świeżem powietrzem..... Potem ucieszył się listem Elci.....

— Ostatnim! poszepnęła Stella żałośnie.

— Tak, ostatnim potwierdził Miron.

Stanęli w mieszkaniu, Stella zawołała Honoratkę.

— Mamo, do zobaczenia! ucałowała ręce matki, która ją przycisnęła do siebie. Okryła się szarym płaszczykiem i wsparta na ramieniu Mirona, z postę-pującą obok Honoratką, udali się ku wzgórkowi na którym biały domek uśmiechał się niby ostatnim promieniem zachodzącego słońca.

W koło nich śliczny rozłożył się kraj obrazu: wzgó-rza to niższe, to wyższe: to jakby lekko zarysowane, to potoczyste więcej; bliższe zielone, płowe, dalsze sinawe, mgłą lekką, podniową spowite. Na niedale-kim obszarze promień słoneczny pozłacał łan pszenicz-ny o ciężkich, pochylonych kłosach; tam znowu, na brunatnawo-zielonym wzgórzu, pastuszek bydło z pa-szy popędzał ku oborze.– Tu i owdzie z domów, roz-miarów różnych, dymy prostemi unosiły się słupami. Drzewa i krzewy, bujną roślinnością wdzięczny, ma-lowny uzupełniały widok. Cisza i ciepło, niby w po-wietrzu widome urokiem letniego wieczoru, całą oko-licę objęły.

— Obraz to dla pendzla *Claude Lorraire*, przer-wał Miron milczenie. Przestwór cały przed zachod-niem zróżowiony światłem. Białe kominy domów i drzew wierzchołki błyskotny jeszcze żegna promień. Dalsze przedmioty mgłą lekką pokryte. Wszystko tchnie spokojem, harmoniją, szczęściem....

— Tak wszystko tchnie harmoniją, spokojem szczę-ściem, powtórzyła Stella, a my zmierzamy do domu śmierci.

— Śmierć także jest zgodą i spokojem, zcicha wy-mówił Miron.

W milczeniu doszli do domku. Na progu powitała ich ciotka Adama, blada, łzami zalana. Chory sie-dział przy otwartem jeszcze oknie, wyciągnął ku od-wiedzającym go białe wychudłe dłonie, z wyrazem nieokreślonej radości.

— Pani, pani! wymówił wpół cicho, panno Stello! Niechaj ci Bóg nagrodzi!...... Szczęśliwa to dla mnie chwila.

— Dziś, widzę że ze zdrowiem pana znacznie jest lepiej, wymówiła siląc się na uśmiech, i usiadła przy nim.

— Wiele lepiej, wiele! Powiew nie razi mnie już wcale...... ależ bo czas tak ciepły. Świat Boży przecudny a dziś mi tak szczególniej błogo.. tak dzi-wnie rozkosznie... Tak niezwykle.....

Po chwili mówił dalej.

— Powtarzają się we mnie wszystkie moje pio-senki, jedna po drugiej... i dawne i świeżo wynucone. Skoro tylko przymknę powieki, to je słyszę, słyszę jak gdyby je Elcia śpiewała. A może ona tam i śpiewa.

— Śpiewa zapewne.

— Głosik to przecudny, czysty, srebrny.... chociaż nie zbyt silny. Jakby powiew anielski. Przed go-dziną, dodał, biorąc kurtkę ze stolika, ułożyłem me-lodyą do poezyi Edwarda: *Tęsknota*. To dla pani! i podał Stelli kartkę.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję! uścisnęła mu rę-kę, połykając łzy, które napływały jej źrenice, a po-szepnęła sobie w duszy: Śpiew to łabędzi.

Po chwili słońce spuściło się po za góry: purpura bliższe powlokła przedmioty, dalsze we mgle tonęły,

— Boże! Jakiż to hymn cudowny słyszę.. Jaki to urok melodyjny!... Chóry aniołów!... Boże!.. Boże!. przymknął powieki znużone, zanucił, zcicha i umilkł Głowa jego na poduszce obwisła.... nikt poruszyć się nie śmiał.

W kościołku opodal na *Anioł Pański* zadzwo-niono.

Stella zgięła kolana, wzniosła oczy i złożone dłonie przycisnęła do piersi.

Miron wsparty jedną ręką o poręcz krzesła, drugą przyłożył do czoła i pochylił się ukorzony.

Przy drzwiach klęczała ciotka Adama i Hono-ratka.

Uroczysty spokój zaległ w około. Dzwon wieczor-ny melodyjnie po zroszonych przeciągnął trawach. Umilkł, przedźwiękł i nastąpiła cisza.

Blady księżyc wypłynął na błękit wieczorny, lazu-rowy, przecudny. Zajrzał w głąb pokoiku: promień jasny padł na przejrzyste lica Adama, spokojne, po-godne, jakby uśmiechnięte.

Miron przysunął się zwolna. Ujął zlekka rękę je go, dotknął się czoła...

— Skończył! wyrzekł głosem uroczystem, cichym ..

Stella załamała dłonie. Nadbiegła ciotka i z głoś-nym wybuchem płaczu martwe objęła zwłoki.

Drzwi uchylono i ukazał się kapłan siwo włosy.

— Niechaj będzie pochwalony!.. wyrzekł głosem dźwięcznym, stłumionym nieco. Pokój temu domowi! przystąpił bliżej. Skończył w Bogu. Wieczny mu od-poczynek, módlmy się!

Wszyscy przyklękli.

W półgodziny później wracali Stella i Miron tą samą drożyną, którą byli przyszli. Wieczór zapadł całkiem. Księżyc w całym swoim zakrólował blasku, a w koło jasne migotały gwiazdki.

— Nieszczęśliwa ciotka, która drugą była mu matką, ozwała się wreszcie Stella. Ach! a Elcia! Mój Boże, Elcia!

— Zatelegrafuję rychło do jej matki, by ją przy-sposabiła, utuliła... Pogrzebem się zajmę, by ulżyć ciotce w tym trudzie bolesnym.

Stella spojrzała ku niemu w milczeniu, z wdzięcz-nym wyrazem.

— Śpiew jego łabędzi, zaczęła znowu po chwili, ja-każ to żałosno-droga pamiątka! Nie będę miała odwa-gi zaśpiewać, by go nie sprofanować. Głęboka to zapew-ne melodya, jak było jego uczucie ostatnie .. A piękną miał śmierć wśród chórów anielskich i duch jego ule-ciał z nutą na ustach, z hymnem w sercu, pogodnie, szczęśliwie.

VIII

Zostawszy sama w pokoju swoim, Stella otworzyła list Edwarda przed chwilą odebrany. Pisał obszer-nie, zwłaszcza wiele o Mironie.

„Jest to rzadkiej szlachetności człowiek pisał, „któ-rej ciągłe a rozliczne daje dowody. Zacny w najwyż-szym znaczeniu tego wielkiéj wagi wyrazu; szlachetny, prawy, wielkiego serca i pięknej duszy. Powtarzałem to już nieraz w listach moich, a powtarzać lubię, bo gdy o nim mówię jestem na wskroś optymistą . Nie opowiedziałem pani jeszcze gdzie i jak go poznałem. Było to przy składkowym obiedzie, był pomiędzy na-mi Podolewski, którego wtedy po raz pierwszy wi-działem, a od pierwszego rzutu oka wywarł na mnie nader sympatyczne wrażenie. Przy stole siedział naprzeciw niego znany mi obywatel, pan N. N.—czło-wiek stanowiska wyższego, jak powiadają, a przytem bogaty. Uważałam jak mu czapkowano zewsząd a on, jakoby z miną protekcjonalną, łaskawy z góry, mrużąc oczy, uśmiechał się do oddających mu pokło-ny. Nie zważałem na początek rozmowy, gdy w tem dosłyszałem, jak pan N. N. wyrażał się uwłaczająco o panu O. , mało znanym, skromnego stanowiska człowieku. Miron bronił nieobecnego w sposób grze-czny, ale stanowczy. Pan N. N. nie zniósł téj opozy-cyi, uniósł się i rzucił fatalną obelgę na pana O. , którą go niemal od czci i uczciwości odsądził. Mi-ron poczerwieniał, powstał i podniesionym wy-rzekł głosem: „Zaprzestań, pan; i odwołaj to coś powiedział. Pan O. nie jest mi krewnym, nie łączą nas nawet stosunki bliższej przyjaźni, lecz znam go jako zacnego i prawego obywatela, i właśnie wypadek o którym pan co tylko mówiłeś, znanym mi jest z do-kładnością całą, i stawia pana O. w jak najczystszem świetle. Powinnością jest każdego stanąć w obronie spotwarzonego niegodnie, spełniam ten obowiązek, z całem przeświadczeniem w obec wszystkich tutaj obecnych. Oto moja karta „położył ją przed nim na stole".

— Ależ, mój panie. ja... bo... to.. jąkał się pan N. N. i pobladł, jam to słyszał..! mówiono na pewne powtórzyłem tylko...

— Plotek i potwarzy mąż prawy nie powinien po-wtarzać, wyrzekł Miron z przyciskiem, a jeżeli coś po-dobnego wypowiedział niebacznie, to i zaraz odwołać winien.

— To nie był mój sąd, powtarzam, i na czoło pa-na N. N. wielkie krople wystąpiły potu: Nigdy niko-mu ubliżyć nie chcę...

— Zatem pan odwołujesz, coś wyrzekł o panu O.?

— Ależ tak, odwołuję .. bom nie wiedział. . bo... odwołuję! odwołuję!

— Panowie słyszeliście? zwrócił się Miron do obe-cnych, dosyć mi na tem!

Pan N. N. powstał, podał mi rękę i uścisnął ją. Siedziałem opodal. Nie mogłem się powstrzymać przybiegłem doń.

— Cześć i uznanie! zawołałem i objąłem go uści-skiem. Za przykładem moim poszło kilku jeszcze: Odtąd zawiązała się przyjaźń nasza.

Młody Stanisław, którego tu odwiózł, i na którego wykształcenie łożył, jest tu na jego koszcie. Sierota to po zacnym i zasłużonym w kraju mężu, a do-świadczonym niedolami różnemi. Mówię z nim o Mi-ronie często, i niejednego, a raczej wiele dowiedziałem się od Stasia, bo Podolewski jest do tego i bardzo skromnym. Dla tego też, droga przyjaciółko moja, siostro! z pewnym niepokojem list jego odczytałem, odebrany wczoraj. Jest to drugi, który mi przysłał ze Źródlisk. W pierwszym mówił więcej ogólnikowo- Przyznał się do dziwnego wrażenia doznanego od pier-wszej chwili poznania ciebie, jakiego nie doświadczył jeszcze. Z serdecznem szacunkiem i poważaniem wy-rażał się także i o twoich zacnych rodzicach.

List drugi, powierza mi tajemnicę serca, które, ty, Stello droga, jedynie zajęłaś. Otóż ustęp z jego pi-sma:

Nieokreślonej dobroci wyrazem, wyrozumowaniem łagodnem, wdziękiem prostoty, serca wszystkich po-ciąga, a powabem czaruje. Chociaż światła, wyższe-go umysłu i wykształcenia, skromność przechowała dziewczynki. Poważna, gdy właściwem kieruje się po-czuciem, umie jednak być swobodną i wesołą. A ja-kiż to ten jej z rodzicami stosunek!Matka jest dla niej przyjaciółką najlepszą, której cześć niesie i miłość; ojciec przyjacielem poważanym nad wszystko, a uko-chanym, którego nauki i rady są dla niej wskazówką i wzorem.

„Poznałem ją! Och, czemuż jest bogatą! Pozna-wszy ją! zajęła całą duszę moją, u stóp jej złożyłem serce i pokochałem całą duszą.

„Nie zapomnę jej nigdy; i nie pokocham już innej, mimo tego nie wyznam jej uczuć moich, bo nas dzie-lą miljony, których jest dziedziczką.

„Miałem w Źródliskach dwa zabawić tygodnie, a upłynęły już cztery bo oderwać się nie mogę: tyle

aby mojego szczęścia! Zdaje mi się żem jej przyjaźń pozyskał i tej utracić nie chcę, gdybym wystąpił, jako starający się o jej rękę... ozłoconą! Możeby na mnie spojrzała zdziwiona, a takiej nie zniósłbym chwili.....

Stella dwa razy przeczytała ten ustęp, dziwna przytem jasność na jej czyste powiała czoło; usta zaledwo dostrzeżony rozchylił uśmiech dziewczęcy, a na tle modrego oka, cenna błysnęła perełka.

Postała jeszcze chwilę w zadumce błogiej, trzymając list rozłożony przed sobą. Potem złożyła go zwolna, przystąpiła do okna i otworzyła je. Balsamiczna woń nocy zawiała, powiew choć najlżejszy o lekki nie trącił listek. Srebrna jasność księżyca wszystkie objęła przedmioty. Przycisnęła dłoń z listem do piersi, a tak szczęśliwą była w tej chwili, że nawet.... o żałobie przepomniała. W tem nadciągnęło po błękicie nocy pare leciuchnych, białych jakby upostaciowanych chmurek, jakby duchy do wiecznej, niebieskiej płynące ojczyzny. Wspomniała o zgasłym Adamie, łzy zabiegły źrenice i z modlitwą na kolana upadła.

W poobiedniej nazajutrz godzinie, nadszedł Miron do państwa Zebrzyńskich.

— Byłeś zajęty zapewnie urządzeniem pogrzebu? zapytał Ojciec.

— Odprowadzimy go wszyscy do ostatniego na ziemi mieszkania.

— A cóż biedna ciotka? zapytała pani Zebrzyńska.

— Przed chwilą odebrała list od matki Elci, napisany po odbiorze bolesnego telegramu.

— I cóż pisze nieszczęśliwa Elcia? zawołała Stella.

— Wczoraj przed wieczorem, a było to podobno właśnie w chwili, gdy Adam zasnął na wieki, Elcia zdjęła fotografiją jego ze ściany, by na nią popatrzeć... Nagle krzyknęła i fotografija z rąk jej wypadła; Matka przybiegła i zastała ją na wpół zemdloną.

— Cóż się stało? zapytała, biorąc ją w objęcie.

— „Och mamo!" odrzekła. przypatrywałam się fotografii Adama. .. i nagle w oczach zmieniła się moich... jakby w trupią głowę!

— Szczególne zdarzenie, poszepnęła matka Stelli.

— Tak, zapewne.... Są dziwy na świecie, którym zaprzeczyć nie można, a których i cała, najgłębsza filozofija zbadać nie potrafi. Czytałem niedawno że kuryer wysłany z wiadomością o urodzeniu się Ludwika XVI, zleciał z konia i zabił się na miejscu, ksiądz, który go ochrzcił, padł paraliżem tknięty na schodach zamku wersalskiego: trzy mamki jego umarły. Naturalne to wszystko rzeczy, lecz zbieg okoliczności jest dziwnym, a ztąd przypuszczenie, że te wypadki były przepowiednią strasznych nieszczęść króla i śmierci gwałtownej.

— Ale czyż tak i szczęśliwe zbiegają się okoliczności, jako przepowiednie szczęścia, które ma nastąpić później?

— Może na szczęśliwe nie zwracamy tyle uwagi, co na nieszczęśliwe: leży to w naturze ludzkiej: zło nas dotyka to i staje się pamiętniejszem, a dobre łatwo przemija. Aleź, Stello, czy oświadczyłaś panu Podolewskiemu serdeczne pozdrowienia Edwarda?

Stella zlekka zapłonęła.

— Przesyła panu pozdrowienia i życzenia serdeczne.

— Dziękuję pani, dziękuję! pokłonił się i pokraśniał także.

— Stella przeczytała mi niektóre ustępy z jego listu, mówił pan Zebrzyński, i widzę z nich że jest dość pogodnym, a rad szczególniej z młodego towarzysza, ktorego mu zawiozłeś. Postanowiłem, że po odbytej kuracyi w Źródliskach, pojedziemy do Interlaken by go odwiedzić.

— Piękny to pomysł, ojcze najdroższy! zawołała Stella i z radośnem uczuciem złożyła dłonie.

— Pojedziemy z pewnością. A może i pan Miron z nami?

— Gdybym mógł!... Lecz wypada mi do domu powrócić.

— Masz w Interlaken i przyjaciela i pupila!

— Pojechałbym i dla samego Edwarda. Łączy nas przyjaźń już od lat kilku. Poznaliśmy się bliżej w cięźkich chwilach....

— Wiem o tem! Wiem o wszystkiem!

— Zgadzają się usposobienia nasze, charaktery, jednakich jesteśmy przekonań.

— To właśnie jest granitową podstawą uczucia, które ludzie przyjaźnią zowią, a tak rozumieją mało. Znanem mi wszystko, panie Mironie, co was wiąże z sobą.

W parę dni później, pogrzeb Adama odbył się uroczyście i całe grono kąpielowe odprowadziło zwłoki jego do mogiły.

IX.

Powietrze dżdżyste zgromadziło gości wcześniej, jak zwykle, w zbiorowym salonie. Dźwięczał fortepian i półgłośne toczyły się rozmowy.

Stella chodziła po sali, rozmawiając z Mironem, potem usiedli przy oknie i jakieś przeglądali ryciny.

Po chwili ukazał się we drzwiach od przyległych pokoi, młody i piękny mężczyzna, blondyn, według najwyszukańszej mody ubrany. Przystanął i powiódł oczami w około, trzymając w ręku, ściśnionej jasną rękawiczką, najwykwintniejszy cylindrowy kapelusz. Uwaga niemal wszystkich ku niemu się zwróciła. Wodził wzrokiem po sali, jak gdyby upatrywał znajomych; musnął palcami drugiej ręki miękki płowy wąsik, szybkim posunął się ruchem i stanął z ukłonem pełnym gracyi, przy kanapce, na której państwo Zebrzyscy siedzieli. Podali sobie ręce. Przybyły słów kilka przemówił, potem wyprostował się, spojrzał ku oknu gdzie siedziała Stella, zręcznie przebiegł salę, przystąpił do niej i podając jej rękę, rzekł:

— Bardzo jestem szczęśliwy, żem panią odnalazł wreszcie.

— Pan zapewne dopiero przybyłeś? zapytała.

— Przed półgodziną, pani.

— Panowie się nie znają? Pan Ildefons Kłonojewski, pan Miron Podolewski, przedstawiła Stella.

Miron podniósł się z lekka i pokłonił uprzejmie. Pan Ildefons z góry skinął mu głową.

— *Permettez, madame* wymówił, siadając obok na krześle, ale tak, że w połowie był tyłem obróconv do Podolewskiego. Szukałem państwa w Cieplicach, w Kalrsbadzie, *et qu'en sais-je moi!* I byłbym pewnie dalej puścił się na zachód, *mais imaginez*, dowiedziałem się w Dreźnie od panny Laury Wareckiej, że tutaj panią zastanę: obrócił nieco głowę i zmierzył Mirona wzrokiem, jak gdyby mu chciał powiedzieć: Czegóż tu siedzisz jeszcze i zawadzasz mi.

— Czy te panie bawią jeszcze w Dreznie? zapytała Stella, aby coś przecie przemówić, bo wcale nie ciekawa była tej wiadomości!

— Wyjechały właśnie na dwa tygodnie do Cieplic. W Dreźnie robią wyprawę dla przyszłej pani Telesforowej. Będzie to małżeństwo bardzo *assortie*, Laura stworzona na wielką damę, pan Telesfor *en a les moyens*, ażeby nią była. Ale dla czego państwo do Źródlisk przyjechali?

— Lekarze poradzili je rodzicom.

— Zakazane miejsce! *Peu fréquenté!*

— Źródło tutejsze jest bardzo skutecznem, wtrącił Miron, zakład niedawny jeszcze więc i mało odwiedzany dotąd. Ale...

Pan Ildefons nie obejrzał się na mówiącego, odwrócił się jeszcze więcej, i szybko przerwał mu mowę.

— Długo państwo myślicie tutaj zabawić jeszcze?

— Dni kilka, tydzień może.

— A potém dokąd?

— Nie wiemy jeszcze.

Pan Ildefons obejrzał się znowu na Mirona, dając wyraźnie poznać, że mu zawadza. Widząc to Stella, zawiązała z tym ostatnim dość żywą rozmowę, w jakimś literackim przedmiocie. Miron czynił uwagi pełne świadomości rzeczy i głębszego pojęcia. Ildefons cylindrem kręcił niecierpliwie w ręku. Usiłował po parę razy przerwać tę rozmowę, zwracając różne pytania do Stelli. Odpowiadała mu grzecznie, ale rozmowy znać wielce dla niej zajmującej przerwać nie potrafił. Tym sposobem przytrzymała Mirona, który już chciał ustąpić, a zrozumiał że widocznie żądała, ażeby nie odszedł.

Pan Ildefons poczuł, że..... trochę niemądrą odgrywa rolę Przełamał więc mężnie otaczające go lody, dość zręcznie, niemal przemocą przedarł literacką rozmowę, i począł opowiadać jakąś dość ciekawą awanturkę.

— Widzę, że mama skinęła na mnie, odezwała się Stella powstając.

I panowie powstali także.

— Miałeś pan ojcu wyjaśnić ustęp jakiś z mowy, parlamentowej ... odezwała się Stella do Mirona, idźmy zatem do rodziców. Skłoniła głowę Ildefonsowi i z Podolewskim udała się do państwa Zebrzyńskich.

Na piękne lica pana Ildefonsa nagły wystrzelił płomień, a z oczów nienawiść trysnęła. Wtem spostrzegł Michała wchodzącego, którego uczepił się skwapliwie.

— Czy pan znasz Mirona Podolewskiego? zapytał go Michał po chwili.

— *Je ne le connais ni d'Adam ni d'Eve*, odrzekł pogardliwie.

— Jest on ceniony bardzo i poważany...

— *Peu m'importe!*

— Czy pana zaprezentować tym paniom?

Ildefons skrzywił usta.

— *Merci.* Pierwej rozpatrzeć się muszę jaki tu macie *komplet*, ujął młodego pod rękę, różne zadając mu pytania.

Po niedługiej chwili Miron opuścił salon, wtedy pan Ildefons przysiadł się z wszelką swobodą do stolika państwa Zebrzyńskich. i rozwinął cały swój artyzm wykwintno-towarzyski.

— To już wyraźnie konkurent do Stelli, szepnęła Klocia.

— Oczywiście, że dla niej przyjechał umyślnie, dodała Brynia.

— Śliczny chłopiec!

— Piękny!

— A jaki ugrzeczniony.

— Salonowiec! Wykwintny! *Beau comme Apollon!* wyrzekła Lorcia, która milczała dotąd.

— Pewno odniesie palmę nad Podolewskim.

— Stella za żadnego nie pójdzie, ozwała się Lorcia znowu.

— Dla czego?

— Bo jest emancypowaną, a kobiety takie są przeciwnie małżeństwu. Do rydwanu swojego wprządz jednakże gotowa wszystkich.

— Jesteś złośliwą! zawołała Klocia.

— Przejdźmy się po sali, wymówiła Brynia.

Pan Ildefons je minął, nie zważając na nie wcale: były mu znać za nadto... *sans chic.* Rozległy to zaprawdę wyraz w dzisiejszem życiu towarzyskiem, i rozległego znaczenia, bo nie jeden przestrzeganiem nieszczęsnego *chic'u wyszykował* się materyalnie, i z *chic'em* a niekiedy nawet pozbył się i honoru.

Le grand chic często sprowadza ruinę majątku,

le beau chic moralnie gubi. Kawalerowie żeniący się z *chic'em* najczęściej unieszczęśliwiają ofiary, którym przy ślubnym ołtarzu zaprzysięgli wiarę; panny z *chic'em* goniące za bogatym mężem, ale takich jest niewiele, noszą następnie nazwisko małżonka, któremu się zaprzedały z *chic'em* także. Rzecz ciekawa, zkąd wyrażenia: ma *szyk*, nie ma szyku, szykowna *nieszyk*, (niezgrabiasz), wyrażenia znaczące to samo, co *chic* francuski, tylko po prostaczemu, przybłąkały się wśród ludu naszego?! Uważano je, naturalnie, za trywialne bardzo, gdy dzisiaj *chic*, z dykcyonarza francuzkiego wzięty, stał się arcy modnym i w arcy-dobrym tonie. *Chic* mają kobiety, konie kawalerowie i pieski pokojowe. *Szyk* ma dziewka, parobek, albo też jedno i drugie jest *nieszykiem*. *Le beau chic* znaczny elegancki ekwipaż, strój kobiety, zwłaszcza też rękawiczki o kilku guzikach. Nawet i liściki w zgrabnej eleganckiej kopercie, oczywiście że bez względu na ich wartość wewnętrzną, bo mogłoby nawet zawierać wyrazy ortografii podobnej, jak: *ftorek*, *fhut* (wchód), *cherbata* i t. p.

Po wyjściu państwa Zebrzyńskich pan Ildefons usiadł na uboczu z Michałem, nie chcąc żadnych robić znajomości, któreby może nie odpowiadały jego stanowisku społecznemu.

Panienki przeszły się jeszcze razy pare po sali, a niezadługo całe rozproszyło się towarzystwo.

Dnia następnego z rana, spotkali państwo Zebrzyńscy Mirona przy źródle. Niezadługo zjawił się i Ildefons, w najmodniejszem rannem ubraniu, jakie tylko mistrz krawieckiej sztuki mógł wymyśleć i stworzyć. Przystąpił do państwa Zebrzyńskich, powitał ich z elegancyą i okazem wysokiego poszanowania. Mironowi zaledwie skinął głową, a potem przysunął się do Stelli, chociaż ta szła pomiędzy matką i ojcem. Zawiązał też zaraz z paniami jakąś czczą jak pianka gawędkę, a gdy nadeszło więcej osób znajomych i nastąpiły powitania, pan Ildefons zachował się w obec tych wszystkich osób sztywno-neutralnie, *pour ne pas deroger*, i nie prezentował się nikomu. I rzecz dziwna, że tą niegrzecznością raczej imponował, a nie gniewał i uważano go, jako coś wielce arystokratycznego.

Po odbytej po ostatnim kubku przechadzce państwo Zebrzyńscy udali się na kawę do siebie.

Pan Ildefons zasiadł przy stoliku pod bluszczową wystawą; pił herbatę, jadł jajka na miękko, surową szynkę i francuzkie czytał dzienniki.

Trzy znane nam panienki spoglądały na niego z ukosa; rodzice ich także, a wszyscy z wielkiem pożądaniem, poznajomienia się z tak dystyngowanym kawalerem.

Około południa wbiegł Michał dziwnie zaperzony do pokoju Stelli, a zastał ją samą.

— Co tobie? zapytała niespokojna. Może wiadomość jaka od Wacława?

— Och, nie! zaszła tylko fatalna awantura....

— Cóż takiego?

— Byłem z Mironem w salonie, przerzucaliśmy dzienniki; gdy wszedł Kłonojewski. Zmierzył wprost do Mirona i stawając przed nim, wyrzekł:

— Staram się o rękę panny Zebrzyńskiej. Pan tutaj stanąłeś mi w drodze, więc żądam, ażebyś z niej zeszedł i od panny odstąpił.

Miron pobladł i odrzekł głosem spokojnym, ale stanowczym:

— Żądanie pana jest dziwne, jeżeli nie śmieszne. Cenię honor jak każdy uczciwy człowiek, i właśnie dla tego wymaganiom pana zadość nie uczynię.

— Mój panie! zawołał Ildefons i aż posiniał. Oto moja karta!

Miron położył ją przed nim i wyszedł. A ja pospieszyłem do ciebie.

— Fatalność! wyszeptała Stella blada, pomieszana, że aż o krzesło wesprzeć się musiała. Wszakżeż tego nieszczęsnego pojedynku w niczem postępowaniem mojem nie wywołałam! mój Boże! dla czego mnie ta boleść spotkała!

— Rozumiem z tego tylko, że Kłonojewski chce *à tout prix* twoją pozyskać rękę.

— Nędzny i niecny! zawołała z oburzeniem. Gdyby był nawet przychylność moją pozyskał; tobym go znienawidziła po takim czynie raz na zawsze. Gdzież jest teraz pan Miron?

— Myślę, że poszedł do siebie i czeka na świadków Kłonojewskiego, który tutaj nikogo nie zna. Musi dopiero szukać i podobno po sekundantów wysłał już telegramy. Stella przeszedłszy niespokojnie po pokoju zatrzymała się przed Michałem i biorąc rękę jego, rzekła:

— Idź po pana Mirona, proszę cię o to!

— Idę natychmiast.

Stella jeszcze razy parę szybko przebiegła pokój, potem przycisnęła dłonią serce, jak gdyby uderzenia jego powstrzymać chciała, udała się do pokoju matki. Dość długą tam przebyła chwilę, wyszła z oczami lekko zrumienionemi i zwolna udała się do pokoju ojca.

— Ojcze mój drogi! rzekła przyciskając do ust jego rękę, przychodzę z wielką prośbą!

— Hoho! coś ja widzę wielce ważnego! Siadaj!

— Tutaj, tutaj. ojczulku! przyklękła i głowę na jego położyła kolanach.

— O cóż chodzi? uśmiechnął się pan Zebrzyński z dobrocią, jak gdyby domyślał się czegoś; i dłoń na jej położył głowie.

— Drogi mój ojcze!... Michaś przybiegł właśnie z okropną wiadomością, że Kłonojewski wyzwał pana Podolewskiego na pojedynek.

— Cóż znowu! oburzył się pan Zebrzyński.—O co?

— Żądał w sposób ubliżający, ażeby... ażeby mu nie stał w drodze, bo on stara się o mnie....

— Furfant! To mi się podoba! Ale dla czegóż Michaś z tem do mnie nie przyszedł?... Jakżeż to było?

Stella powtórzyła mu wszystko jak słyszała od Michała.

— Istne zawadyastwo! Tem on przecie serca twojego, ani też mojego szacunku zjednać sobie nie może!... Muszę tę zwadę zagodzić.

— Ale wprzódy wysłuchaj spowiedzi serca mojego i duszy.

— Słucham dziecko!

— Nauczyłam się cenić wysoko Mirona Podolewskiego... i pokochałam go.

— I ja go cenię i kocham! Lepszego nie pragnąłbym zięcia. Powstań, dziecko! ujął ją w objęcia i do serca przycisnął.—Spodziewałem się tego!

— Ale, czy ty jego posiadasz serce? zapytał nagłą uderzony myślą.

— Myślę, odezwała się nieśmiało, że istnieje jakiś prąd niewidzialny, który z serca biegnie do serca, bezwiednie a wszechpotężnie, i dopiero później, zamienia się w słowa. Przeczytaj, ojczulku, list Edwarda, a z niego dowiesz się wiele.

Pan Zebrzyński list przeczytał, zpoważniał i aż ciemna jego zamgliła się źrenica.

— To piękne wyznanie uczuć szlachetnych, wymówił, przecierając oczy, i mogło ostatecznie trafić do serduszka dzieweczki mojej. Godny to ze wszechmiar człowiek i pełen zacności, a zacność u mężczyzny to niewzruszona podstawa wszystkiego!... Byłaś gwiazdką naszą, bądźże odtąd i gwiazdą jego życia!

— Ojcze, i pojedynku nie będzie! Przeszkodzimy temu szaleństwu. Będę narzeczoną Mirona Podolewskiego i skończą się wszystkie pretensye pana Ildefonsa Kłonojewskiego.

— Idę w tej chwili do Mirona, a potem do Kłonojewskiego, i rzecz całą zagodzę jak najzupełniej.

Stella uściskała ojca pobiegła potem do matki, by jej o wszystkiem zdać sprawę.

Po upływie dwóch godzin dopiero posłyszały chód szybki na korytarzu. Wszedł pan Zebrzyński, a za nim Miron. Stella, jakby mimowolnie posunęła się ku środkowi pokoju, z pochylonem nieco czołem i spuszczoną powieką.

Miron ujął jej rękę i chciał coś przemówić, ale Stella szepnęła.

— Do mamy pierwej! Do mamy!

Pan Zebrzyński zdał sprawę matce i córce, że był z Michasiem u pana Ildefonsa Kłonojewskiego i oświadczył mu, że córka jest narzeczoną pana Mirona Podolewskiego i zarządał, by tenże szorstkie swoje postępowanie odwołał. Co tenże zaraz, jako prawdziwy *gentleman* uskutecznił.

W tej chwili wbiegł Michał z promieniającym wyrazem twarzy.

— Winszuję! Winszuję! zawołał z uniesieniem i całował ręce ciotki i Stelli.

— A cóż tam Kłonojewski? zapytał pan Zebrzyński.

— Kazał odwieść się ekstrapocztą do pierwszej stacyi kolejowej, gdzie na pociąg zaczeka: duszno i przykro mu tu było.

Wypadek powyższy i zaręczyny Stelli z Podolewskim wielką dla całych Źródlisk będąc nowiną, przeróżne wywołały uwagi, stały się *ewenementem* i zrobiły *sensacyą* jak wyraził się któryś z eleganckich gości.

—Powstawała na pojedynki, mówiła gniewnie Lorcia, a sama stała się do pojedynku przyczyną!

— Właśnie, że nie, odezwała się Klocia, bo przecież przeszkodziła pojedynkowi.

— Zawsze jednak było wyzwanie!.. Szczęśliwa! I jej to pochlebiło, ani wątpić!

— A cóż, czy jeszcze ją nazwiesz emancypantką? uśmiechnęła się Klocia! Idzie za mąż.

— Zobaczymy!.. Wolała Podolewskiego, ja zaś byłabym Kłonojewskiego wybrała.

Wieczorem przyjmowała młoda para życzenia w zbiorowym salonie.

W tydzień potem wyjechali państwo Zebrzyńscy do Interlaken, a Miron oczywiście im towarzyszył.

XI.

Podróżni nasi przybyciem swojem niewysłowioną radość sprawili poecie. Zdawało się, że na ich widok przybyło Edwardowi nowego życia. Upoiło go powitanie ukochanych osób, pocieszyła, jakoby woń z kraju, atmosfera rodzinna, a uszczęśliwiła wiadomość że Stella, siostra droga po duchu, została narzeczoną cenionego i kochanego przyjaciela.

Dwa tygodnie zabawili w Interlaken. Zwiedzili następnie Szwajcaryą niemal całą a po powrocie zatrzymali się dni kilka w Dreznie. Dowiedzieli się, że tamże odbył się ślub Laury z Telesforem Stulinowskim, nadzwyczaj wystawnie. Całe Drezno o nim mówiło, podziwiając przepych, piękność panny młodej... a zwłaszcza też obok starego oblubieńca! Po ślubie wyjechali młodzi małżonkowie, jak mówiono do Voesslau pod Wiedeń, na winogrona.

Na początku września, państwo Zebrzyńscy do Żuliniec wrócili, w towarzystwie Mirona.

Wacław raz tylko do nich napisał, i to tak krótko, tak nic w liście nie powiedział swoim, że i zrozumieć go nie mogli. Stella pragnęła, by poznajomił się z Mironem, ażeby się pokochali jak bracia, a niedobry, mimo zaproszenia. nie zjawił się wcale.

Miron wyszedł do ogrodu i wśród klombu kwiatów szukał najpiękniejszego, by go ofiarować. Znalazł przecudny aster cieniowany delikatnie, o setce listków i uszczknął go w chwili gdy Stella nadchodziła.

Miron przybiegł i podał jej kwiatek.

— Prześliczny! zawołała, w zamian za pamięć udzielę panu przyjemną bardzo wiadomość.

— Jakąż to? zapytał Miron.

— Uprosiłam ojca, jutro pójdziemy wszyscy do Stawina. Pogoda jesienna sprzyja, przejażdżka będzie nadzwyczaj miłą, zawstydzimy opieszalca, i ucieszymy go zarazem. Biedny! pewno żalu swojego nie zdołał przeboleć jeszcze. A może państwo Stulinowscy są już w Gromulicach, to sąsiedztwo rozraniło mu serce na nowo.

Nazajutrz z rana, przy rozkosznej słonecznej pogodzie, wyruszyli ochoczo w niedaleką podróż.

Około godziny czwartej z południa stanęli przed białym dworem w Stawinie. Służba wybiegła i ekonom od gumien podążał.

— Czy nie masz pana w domu? zapytał pan Zebrzyński, wysiadając z powozu.

— Nie ma, jaśnie panie, odrzekł pokojowczyk.

— Już wydałem rozkaz, by stajenny po niego pogonił, wymówił nadchodzący ekonom, to i nadjedzie niebawem.

— Witam cię, mój dobry panie Żołędzki! uścisnął pan Zebrzyński zarządzcę majątku Wacława, którego bardzo poważał. To więc Wacio jest niedaleko?

— W sąsiedztwie tylko.

Miron pomógł wysiąść paniom, a Żołędzki wprowadził gości do otwartych pokoi.

Po chwili wymknęła się Stella pod wystawę, a gdy przechodził Żołędzki, by rozporządzenia poczynić potrzebne, zatrzymała go pytaniem.

— Mój dobry panie, dokąd pan Wacław pojechał?

— Do... Gromalic! odrzekł, ale zawahał się trochę.

— Do Gromalic! powtórzyła zdziwiona. Więc państwo Stulinowscy już zjechali?

— Już od czterech tygodni.

— I pan Wacław często tam jeździ? Stelli tchu nie stało.

— Bardzo często. Zapraszają go ciągle. Trzeciego dnia gdy zjechali do Gromalic byli tu już konno oboje. Zabawili dość długo, pan ich częstował, czem mógł tylko a potem odprowadził ich i wrócił po północy dopiero. Wyprawili następnie wielki obiad dla sąsiedztwa, i przez dni cztery zatrzymali tam pana.

— Więc u nich częstym jest gościem? powtórzyła Stella pytanie, bo radaby była przeciwną posłyszeć odpowiedź.

Z początku bywał rzadziej, lecz go wzywają, zapraszają... gdy którego dnia nie pojedzie, to zaraz umyślny przyleci z listem. Byli też tu znowu kiedyś amerykanką; pani powoziła sama.

— A jakżesz pan Wacław: czy zdrów zawsze i wesół?

— Pan zdrów, dzięki Bogu! Z wód przyjechał pomizerniony jakoś, nieswój, smutny; ale teraz to i raźnie wygląda znowu. Przyszedł do siebie.

— Prosimy panią na podwieczorek — ozwał się Miron, stawając we drzwiach i dalszą przerwał rozmowę. Podał rękę narzeczonej i weszli na salę.

— Stelko, czy cię zmęczyła droga? zapytała matka żeś tak pobladła?

— Nie mamo najdroższa, bynajmniej!

— I ja uważam, ozwał się ojciec, że nam dzieweczka nasza zpochmurzała jakoś. Ale chodźcie do podwieczorku, mam apetyt nielada.

Miron po razy kilka spojrzał na ukochaną, ale o nic nie zapytywał: odgadł co ją niepokoiło.

Po podwieczorku, młoda para wyszła do ogrodu. Chodzili dość długo, gdy wtem od zwirówki dwóch szybko przydążających zobaczyli jeźdźców.

— To Wacław! zawołał Stella.

Niebawem przede dworem Wacław z konia zeskoczył i rzucił się w objęcia wuja stojącego pod wystawą.. Potem ucałował kolana ciotce i obydwie rączki Stelli

— Miron! odgaduję! zawołał z jasném wejrzeniem i w braterski ujął go uścisk, na który Podolewski również odpowiedział serdecznie.

— Jakżeż wam wszystkim za to podziękować szczęście!

— Niedobry z ciebie chłopiec, żeś po powrocie naszym jeszcze nie był w Żulińcach! odezwała się pani Zebrzyńska z wyrazem zwykłej dobroci, ale niby napominając trochę.

— Och, ciociu najdroższa! Tyle, tyle.... mam zajęcia i poczerwieniał nagle.

— Dobrze teraz wyglądasz.

— Zdrów jestem.

— A jak ogorzał kawaler, dodał pan Zebrzyński lecz z têm do twarzy mu wcale.

— Cóż ty mi powiesz, siostrzyczko? ujął Wacław rękę Stelli i spojrzał jéj w oczy.

— Jesteś wesół.... i cieszę się widząc cię zdrowym, odrzekła.

Wacław stłumił westchnienie.

Mówiono wiele: o Źródliskach. o śmierci Adama i wystąpieniu Kłonojewskiego; o Edwardzie i szwajcarskiej podróży; Michasiu, który obecnie był w akademii rolniczej w Żabikowie ale nikt Gromalic nie wspominał, nikt o piękną nie zapytał Laurę.

Nazajutrz spotkała Stella w salonie Wacława sam na sam.

— Jesteś szczęśliwą Stello? zapytał po powitaniu.

— Bardzo bardzo szczęśliwa!

— Lepszego, szlachetniejszego nie mogłaś uczynić wyboru.

— To moje najgłębsze przekonanie, odrzekła i obejrzawszy się wkoło zapytała ciszej: Wacławie: ty bywasz w Gromulicach?

— Nie mówmy o têm! nie mówmy! odrzekł z pomięszaniem. Nie mogę inaczej.... *C'est plus fort que moi!* nie łaj, Stello! To, cobyś mi powiedzieć mogła, już powiedziałem sam sobie.

Na obiad przybył zaproszony proboszcz, dawny państwa Zebrzyńskich znajomy. Gawędka toczyła się raźno, do której i przyniesione z poczty gazety dostarczyły przedmiotu.

Pod wieczór wywołano pana domu. Stella dostrzegła, że jakiś konny przybył posłannik i domyślała się zkąd. Wacław powrócił. Pokręcił się trochę, a stawając za jej krzesłem, poszepnął jej pochylony nieznacznie.

— Wyjdź do drugiego pokoju; mam słówko do pomówienia.

— Cóż mi powiesz? zapytała.

— Napisała do mnie przez umyślnego.... nie wymienił imienia, lecz Stella domyśliła się o kim mówił, chce przybyć tu jutro, by was na pojutrze do Gromalic na obiad zaprosić.

— Nie pojedziemy! odrzekła Stella, przerażona, niechaj nie przyjeżdża! wyjeżdżamy jutro do domu.

— Odpowiedziałem jej tak samo, jak gdybyś mi list podyktowała, odrzekł cicho, z wyrazem nie dającym się określić; był w nim smutek, gorycz, boleść — i jakby wyrzut sumienia.

— Nie chciałabym jej nawet widzieć, poszepnęła cicho Stella

Nigdybym tego nie wymagał od ciebie! Stello! Wybacz! Zdałem ci tylko sprawę. Posłaniec już odjechał... Chodźmy!

Dnia następnego goście ukochani opuścili Stawin Wacław przyrzekł, że niebawem do Żuliniec pospieszy i słowa dotrzymał.—Stella już go nie pytała o Laurę.

Jedenastego listopada—w sam św. Marcin pogodny i jasny odbył się ślub Stelli z Mironem. Weselnych gości było mnóstwo: zjechała rodzina, sąsiedzi i zebrała się liczna gromada włościan Żulinieckich.

A, każdy powtarzał: „Pobłogosław Boże! Pobłogosław!"

Gdy orszak ślubny z kościoła powracał, zajaśniała na pałacu wielka gwiazda promienna, błyszcząca zdala a pod nią transparent z napisem:

Oby gwiazda nasza świeciła wszystkim!

KONIEC.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg).

Posłuszny ogólnym prawom każdego ruchu społecznego, nihilizm ustąpił wkrótce miejsca spokojniejszym dążnościom. Niektórzy pisarze probowali przedstawiać nowe typy ludzi, pragnących wyzwolić się z pod denerwującego kierunku i rozpaczliwych zasad nihilizmu, jakich napotykano w *Szczęściu mieszczańskiem* i w *Molotow'ie* Pomiałowskiego, który bohaterów swoich już nie wśród szlachty, ale w średniej poszukuje klassie.

Molotow jest synem rzemieślnika; chciwy wiedzy, jeszcze na ławach szkolnych zwrócił na siebie uwagę zwierzchności szkolnej. Po ukończeniu nauk, został guwernerem w domu bogatego właściciela ziemskiego i pozyskał serce jego córki; lecz dotknięty pogardą jéj ojca, porzuca dom jego i wchodzi do służby rządowej, gdzie ciężkie i dotkliwe czekają go przejścia.

W drugiej części już Moloto w występuje jako urzędnik, wypełniający swoje obowiązki. Ożenił się, został ojcem rodziny i dosięgnął *auream mediocritatem*, to jest szczytu szczęścia dostępnego śmiertelnym.

Molotow jest człowiekiem umiejącym godzić się z obowiązkami życia, którego ciężkim próbom poddaje się bez szemrania, sprzecznie z osobami odmiennych obyczajów i przekonań, które autor zręcznie mu przeciwstawia w ciągu powieści.

Styl Pomiałowskiego jest zwięzły i pełen życia, i zmienia się odnośnie do charakteru i roli przedstawianej osoby. Oprócz powyższych powieści napisał jeszcze dwie nowelle *Brat i siostra* oraz *Mikhilow'a* i *Szkice z życia szkolnego*, w których przedstawia sceny z życia rossyjskiego duchowieństwa.

Do najlepszych romansów, traktujących przeważnie o stanowisku kobiet w dzisiejszem społeczeństwie, należą: *Ciężkie czasy* Slepcowa (1867), *Żyjąca dusza* przez Marco Vovtczak, (1868) i *Między dwa ognie* przez Awadiewa. Autorowie ci założyli sobie przedstawić z ogniem i z prawdą, ciężkie położenie, w jakiem dziś tak często znajdują się kobiety, nie mogąc prawie pocieszać się nadzieją, iż w blizkiej przyszłości znajdą drogę wyjścia, ku lepszym, mniej zależnym i ciężkim losom.

Romansopisarze piszący około roku 1840, przedstawiali zwykle życie wiejskie i obyczaje ludu, z nader sentymentalnego zapatrując się na nie stanowiska. Już Upański nieco odmiennie traktował ten przedmiot, zaś następcy jego, a na ich czele Rechetnikow, trzymali się więcej realistycznego kierunku. Ulubionym jego tematem jest nędza i nieodstępne od niéj boleści, smutki i żałoby, które umie odtwarzać w całej ich strasznej nagości, współczując z głębi duszy z nieszczęśliwemi wygnańcami tej doliny płaczu. W najlepszym swoim romansie *Służba Podlipowa*, opisuje z przerażającą prawdą męczeńskie życie holowników.

Na polu literatury dramatycznej, Ostrowski stoi

zawsze jako pierwszorzędna gwiazda, i sztuki jego ciągle utrzymują się w repertoarze scenicznym. W najnowszych swoich utworach, przedstawia najczęściej prywatne życie zamożnych kupców i handlujących; tu odznacza się podniosłością poglądu i wielkim darem spostrzegawczym. Do takich sztuk zaliczyć trzeba: najpierw najcelniejszy jego utwór *Burzę*, dalej *Któż bez winy i zarzutu? Smutne dni, Żartownisie*, itd.

Dążność szukania przedmiotu do dramatów w okresie historyi Rossyi poprzedzającym panowanie Piotra Wielkiego, na wzór *Koźmy Minin* Ostrowskiego, utrzymywała się do ostatnich czasów, lecz nie zawsze zapewniała powodzenie. Z pomiędzy licznych utworów, osnutych na tle historycznem, wyróżnił się tylko znany dramat hrabiego Aleksego Tołstoj'a, p. n. *Śmierć Jana Groźnego.*

Znużony władzą i czując zbliżającą się chwilę zgonu, Iwan rozkazuje Zgromadzeniu szlachty, aby mu wyznaczyła następcę; chytry Godunow namawia bojarów aby prosili cara żeby sam panował jak dotąd. Zadowolniony takiem postanowieniem, Iwan swą łaską obdarza Godunowa, czem obudza zazdrość szlachty. Jednocześnie podwaja okrucieństwa, nareszcie postanawia odtrącić swoją bezdzietną żonę i zaślubić siostrzenicę królowéj angielskiej. Zagrożony w swych ambitnych planach, Godunow podmawia lud do buntu, a Iwan przywiedziony do wściekłości, staje się ofiarą swego gniewu. Oto treść tragedji cieszącej się wielkim rozgłosem, na który zasługuje bardzo dramatycznemi ustępami i scenami nader efektownemi.

Tenże autor napisał jeszcze dwa dramaty historyczne z tejże epoki *Car Teodor Iwanowicz* (1867) i *Car Borys* (1869). Dramata te w połączeniu ze *Śmiercią Iwana Groźnego* tworzą rodzaj trylogji.

(D. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

Madryt, w Maju 1874 r.

(Dokończenie).

„ A gdy matka twoja wiedziona wiarą i uczuciem, wpajać będzie w twe serce wiekuiste prawdy, ja chciałbym utwierdzić w umyśle, co już zaszczepione będzie w twem sercu.

„ Że jedna jest tylko święta i prawdziwa religja, ta, która wszystkich ludzi każe kochać jak braci;

„ Której nauki zniosły ohydne niewolnictwo, która kobietę z niewolnicy uczyniła małżonką i towarzyszką mężczyzny.

„ Która bogaczy i możnych uczy miłosierdzia i litości, a biednym, nędzarzom i nieszczęśliwym, mówi o przyszłem życiu.

„ Która śmiało przemawia do królów i rządzących, i potępiając anarchię, potępia zarówno despotyzm.

„ Która chcąc, aby społeczeństwo było dobre, uczy ludzi pojedynczych, aby byli zacnymi i dobrymi.

„ Chciałbym jeszcze wpoić w ciebie tę niemylną zasadę, że kto chce dobrze żyć i dobrze czynić na ziemi, i odebrać nagrodę w przyszłem nieśmiertelnem życiu, powinien kochać nadwszystko, Tego, którego wszechpotężna prawica stworzyła wszystko, począwszy od najnędzniejszego robaczka do najświetniejszej gwiazdy.

„ Czynić lub nie czynić innym, czegobyśmy chcieli lub nie chcieli, aby nam czyniono; święta zasada którą sam tylko Bóg mógł postanowić!

„ O! niech ten Bóg czuwa nad tobą, synu mój! bądź szczęśliwym, niech niewinność i anielski wyraz z jakim wznosisz w niebo piękne twe oczęta, gdy matka pyta ciebie: gdzie jest Bóg?—a ty odpowiadasz patrząc na nią wzrokiem w którym sam Bóg o bjawiać się zdaje.

„ Niech będą niemylną rękojmią prawości i cnót jakie zdobić cię będą, i bądź błogosławiony, synu mój. niech Bóg błogosławi ci zawsze jak ja cię błogosławię!—

Don Fernando de Gabriel jest poetą lirycznym; pióro jego posiada wdzięk liry, nieprzewidziane zwroty śmiałość i polot; nauka i sztuka przychodzi w pomoc wrodzonemu natchnieniu.

Na zakończenie tej korrespondencyi podam wam jeszcze, czytelnicy, sprawozdanie z dziełka, p. t *Cantares par don Melchor de Palau.*

Trudno oddać dosłownie w języku polskim, wyraz *Cantares*, gdyż wyrazy: śpiewki, piosenki, niezupełnie mu odpowiadają. Hiszpański dykcyonarz Akademji, objaśnia wyraz *Cantares* przez *copla*, którego tym bardziej przetłomaczyć nie umiemy, a który dykcyonarz tak tłomaczy: zwrotka czterowierszowa, każdy wiersz po ośm lub jedenaście sylab. Ma się rozumieć, że zwrotki takie przeznaczone są do śpiewu, i jest to najpospolitsza forma piosenek ludowych.

Melchior de Palau w całej swej książeczce trzymasię ściśle określania Akademii, i zdaje się pisał ją w zamiarze aby zwrotki jego były śpiewane, pragnąc usłyszeć je kiedy z towarzyszeniem gitary, przed drzwiami lub w dziedzińcu wiejskiego jakiegoś dworku, lub też wieczorem, w polu lub na drodze, śpiewane przez powracających z roboty wieśniaków.

Don Melchior de Palau y Catala, urodził się w mieście Mataro, w miesiącu Październiku 1843 roku. Jest to człowiek starannie wychowany i wysoko ukształcony, biegły w naukach ścisłych, które, jak się zdaje, rzadko kiedy chodzą w parze z samowolnemi porywami poetycznych natchnień. Dzięki wielkim zdolnościom i głębokiej nauce, w dziewiętnastym roku życia pozyskał nader trudny do otrzymania stopień aspiranta w korpusie inżynierów, dróg i mostów, kanałów i portów, a wiadomo, że nauki stoją tam tak wysoko, iż aby zdać egzamin, potrzeba wielkich zdolności i niezmordowanej pracy.

Dość przeczytać kilkanaście zwrotek pięknych jego *cantares*, aby poznać utwór prawdziwego poety. Gdy je pisał miał lat dwadzieścia kilka, a już odznaczał się dojrzałym rozumem obok jakiejś tęsknej rzewności, która nie wpadając w przesadzony smutek lub jakieś śmieszne zniechęcenie do życia, niewysłowiony wdzięk nadaje jego piosenkom. Ciche zwierzenia szlachetnego i czystego serca, *Cantares* Melchiora Palau, bogate formą i uczuciem, są tak wdzięczne jak wonne kwiatki polne, na których drżą brylantowe rosy kropelki. Czytając je zdaje się, że miłość zdradzona lub niewzajemna, albo przedwczesne jakieś rozczarowanie, zadało sercu jego głęboką ranę, a jednak mimo to nie przeklina miłości, nie wpada w posępny sceptycyzm, który od pewnego czasu podkopuje istnienie i pomyślność tylu młodzieży, którzy nie umieją być ani dobrymi kochankami, ani dobrymi przyjaciołmi, synami, ojcami, a tem samem i obywatelami, gdyż zawczesnie wyschło w ich sercach wszelkie źródło zapału, dobra i szlachetności.

Można może zarzucić niekiedy don Palau pewną wymuszoność, miejscami naiwność zakrawa na śmieszność, namiętność wpada w przesadę, a w obrazowaniach, młody poeta nadużywa fal i bałwanów morskich, błękitu nieba i błyszczących gwiazd, ale mimo tych usterków, z których zresztą łatwo się otrząśnie, posiada wielki, niezaprzeczony talent.

Przytoczymy najpierw kilka *cantares* z tych, w których można dopatrzeć się przesady:

I.

„ Muszę umierać, gdyż krew płynąca w mych żyłach spłynęła do oczu i w łzy się zamieniła."

II.

„ W dołeczku twej twarzyczki postawiłem na straży westchnienie, które zawiadamia o każdem słowie z ust twych wychodzącem."

III.

„ Gdy burza szaleje, obłoki szukają wody w morzu, gdy serce cierpi, szuka łez w oczach."

IV.

„ W kolebce ust twoich złożyłem pocałunek, moje westchnienia nucą piosenkę aby go uśpić, a twoje uśmiechy go kołyszą."

Czytelnicy przyznają nam że przytoczone *cantares* grzeszą wymuszonością, ale za to możemy przeciwstawić inne, pełne powabu i rzewnego uczucia.

I.

„Ilekroć usłyszę dźwięk dzwonów, łzy gwałtem cisną mi się do oczu, gdyż przychodzi mi na myśl, że do mojej śmierci same tylko dzwony zapłaczą po mnie."

II.

„ Małe światełka, błyskające w nocy na cmentarzach, wołają do żyjących: Nie zapominajcie o zmarłych."

III.

„ Pewnego razu, tak bardzo i tak długo płakałem pod tem drzewem, że od gorzkiej boleści mojej, zgorzkły jego owoce."

IV.

„ Chciałbym dostać się do niebios, i wyryć na nich twoje imię, aby ktokolwiek wzniesie oczy w górę, pomyślał o tobie."

V.

„ Idąc drogą życia, co krok się potykamy, aby nakoniec wpaść w dół mogiły."

VI.

„ Mówiono mi zawsze, co kto sieje, to zbiera; siałem bez wypoczynku szczęście i nadzieje, a zebrałem... zawody."

VII.

„ Na zewnątrz więzy miłości wydają się srebrne i złote, wewnątrz są żelazne."

VIII.

„ Wdrapałem się na najwyższą gałęź drzewa miłości, i dla tego cięższej dał mi się uczuć upadek."

IX.

„ Zapytałem oczu moich, skąd biorą wody na tyle łez, jakie nieustannie wylewają? — odpowiedziały: W głębokiem źródle rozczarowania."

X.

„Chciałbym umieścić cię obok najświetniejszej gwiazdy aby, wszyscy mogli na ciebie patrzeć, a nikt dosięgnąć nie zdołał."

XI.

„Jakże to podobne są do siebie listki i nadzieje; i jedne i drugie są z początku świeże i zielone, a potem wiedną i żółkną".

XII.

„Od czasu jak zstąpiłaś na ziemię, z twemi pięknemi oczami, zauważano że dwie gwiazdy znikły na niebie.

XIII.

„Gdy deszcz spadnie z nieba, kwiat staje się świeższym, gdy łzy spłyną z oczu, serce się oczyszcza".

XIV.

„Pewien mędrzec powiedział: Nie zatrzymam się dopokąd nie spotkam prawdy, i nareszcie zatrzymał się w objęciu śmierci.

XV.

Skutkiem wpatrywania się w ciebie, stałem się nieco do ciebie podobnym, tak jak morze które dla tego jest niebieskawe, że ciągle patrzy w niebo.

XVI.

„Chciałbym, aby nad moją mogiłą, posadzono brzozy płaczące, niechby zapłakały po tym, co całe przepłakał życie.

XVII.

„Fale morskie pędzą zdaleka, aby na wybrzeżu złożyć pocałunek, i ledwie dotknęły ziemi, giną wśród innych do tego zmierzających celu.

XVIII.

„Chciałem smutki moje zwierzyć małej chmurce, lecz ledwiem zaczął mówić, w łzy się rozpłynęła!

XIX.

„Nie odmawiaj jałmużny nędzarzowi, który jej żebrze chodząc od drzwi do drzwi, — bo kto wie, czy on nie pokazuje drogi jaką ci kiedyś chodzić przyjdzie.”

Przerywamy przekład *cantares* na tej czysto chrześciańskiej myśli, a takich brylancików czystej wody jest pełno w dziełku Melchiora Palau. Każda taka zwrotka stanowi oddzielną całość, i jako piosenka nie raz całe wieki żyje w ustach ludu.

Na tem kończymy korespondencyę naszą, w następnych pomówimy o dawnych i nowszych pisarzach dramatycznych, aby listy nasze utworzyły krótki rys tak mało w ogóle u nas znanej, literatury hiszpańskiej.

Rzeczy bieżące.

Już od dwóch tygodni teatrzyki ogródkowe, wprawiają w zachwyt wszystkie pięć zmysłów wielce rozkapryszonych i wielce poszukujących wrażeń mieszkańców Warszawy. Oczy i uszy mają do czynienia z blaskiem kinkietów, spłowiałemi nieco barwami dekoracyj, spłowiałemi również wdziękami rozlicznych primadonn, niemniej z dźwiękami wiecznie kłócącej się orkiestry, oraz z poezją i prozą autorów krajowych i zagranicznych, kaleczoną niemiłosiernie przez rzeszę artystyczną, przy pomocy suflera... Powonienie bywa podrażnionem przyjemnie przez lotne części sosów, wydobywających się z miejscowych kuchen, smak ma przeważnie do czynienia z piwem bawarskiem — a dotykanie szturchańcami bezpłatnie rozdawanemi przez niespokojnych lokatorów miejsc nienumerowanych....

Wyszczególniwszy w ten sposób wszystkie mniej więcej uciechy, jakie publiczność warszawska za tanie pieniądze w letnich przybytkach wędrownej Talii zdobywa, wypada z kolei, powiedzieć cóś o samych teatrzykach. Były czasy, kiedy wszyscy feljetoniści, ba! nawet wielce poważni społeczno-wstępnych artykułów fabrykanci, nucili wielkim głosem hymny pochwalne, tej niestety! wiecznie zgłodniałej rzeszy towarzystw dramatycznych prowincjonalnych, która to rzesza, kwoli lepszemu odżywieniu swych części składowych, przybywała na łaskawy chleb do Warszawy. Nadano tym ludziom, którzy Bogu ducha byli winni, zaszczytne miano pionierów cywilizacyi. Mówiąc prawdę, teatrzyki ogródkowe oddawały wówczas, bezświadomie zapewne, pewne usługi społeczności... Rzemieślnik po ciężkiej pracy dziennej, miał gdzie odetchnąć na świeżem powietrzu z rodziną, nasłuchać się wielu uciesznych rzeczy, z których zawsze szczypta zdrowego sensu moralnego w głowie pozostała.—Istniał związek bezpośredni pomiędzy sceną a ludem, grano rzeczy trafiające do przekonania ludu, grano i grubo, rubasznie, karykaturalnie nawet całe przedstawiano sceny, wprost z naszego życia wyrwane, typy miejscowe swojskie, żydków, ekonomów, Wojtków zamaszystych, Basie figlarne, i znajdowano w duszach widzów grunt odpowiedni....

Czasy te dawno minęły. Powodzenie mniejszych towarzystw, zachęciło większe do przedsiębrania letnich wypraw w mury Warszawy. Dyrektorowie zaczęli, konkurować pomiędzy sobą zapamiętale, i zamarzyli nawet o konkurencyi z sceną warszawską. Zamiast jednak walczyć o byt i oklaski, za pośrednictwem starannego wystawiania sztuk i urozmaiconego repertuaru, weszli bardzo prędko na drogę szkodliwą, zgubną, fatalną... na drogę scenicznego wyuzdania.

Rzućmy tylko okiem na dwutygodniowy repertuar obu tegorocznych teatrzyków. Eldorado i Alhambry. Ani śladu dobrej komedyi ani śladu sztuki oryginalnej, Offenbach tu, Offenbach tam, mały Faust, życie Paryzkie, Piękna Helena. Sinobrody, Bandyci i tak dalej bez końca...

— Ale na komedye lepsze nikt nie przychodzi — tłómaczą się przedsiębiercy teatrów — my chcemy żyć.

— Na komedyach lepszych bywa publiczność nie pijąca piwa. i konsumująca niesłychanie małą ilość butersznitów, wołają przedsiębiercy bufetów.

Odpowiemy jednym i drugim:

Na komedye lepsze nikt nie przychodzi, panowie dyrektorowie, ponieważ zniechęciliście publiczność pragnącą przyjemnej zabawy bez obrazy dobrego smaku, a tłum zepsuty błazeństwami żąda co raz pieprzniejszych potraw.

Sztuka sceniczna ma inne zadanie w ludzkości, nad zwiększanie konsumcyi piwa i butersznitów, panowie bufetnicy!

Zresztą Offenbach, na scenie warszawskiej i Offenbach w ogródku, to cała przepaść różnicy. Tutaj wyuzdaną nagość libretta, przysłania muzyka wykonana poprawnie, i gra artystów umiejących bądź co bądź szanować siebie. Tam przy najfałszywszej plątaninie tonów, występuje na scenę tłum komparsów i komparsek bez talentu i godności osobistej,—istoty szukające odznaczenia i poklasku, z pomocą płaskiego cynicznego bezwstydu.

O ile to wszystko oddziaływa szkodliwie na moralność publiczną, o ile rozmija się z zadaniem scen prowincyonalnych, które powinny być polem rozwoju dla początkujących talentów—nie tu miejsce rozbierać.

Czas jednak, aby się zbudziła opinia!

. . . .

— Wydajesz mi się pan dziwnie zachmurzonym? rzekłem do pewnego ojca rodziny, po pierwszym akcie Strasznego Dworu, w dniu pamiętnej i świetnej loteryi fantowej.

— Jestem zły—odparł krótko zagadnięty.

— A powód tego usposobienia, jeżeli wiedzieć wolno?... Czyżby przecudowna muzyka Moniuszki.....

— Eh! panie!—odrzekł—nawet muzyki uczciwie słuchać nie mogę. Oj! ta dobroczynność!...

— W czemże dobroczynność mogła narazić się panu dobrodziejowi?...

— Słuchaj pan! Od dwóch tygodni poruszam niebo i ziemię, aby dostać bilety na Straszny Dwór. Oprócz żony i córki, mam jeszcze przy sobie dwie kuzynki ze wsi, które wkrótce odjeżdzają, i chciałem żeby zobaczyły i usłyszały arcydzieło polskiego mistrza. Nareszcie, dziś udało mi się zmiękczyć kamienne serce kassyera. Kobiety uszczęśliwione, od rana marzą o teatrze, ja zacieram ręce z radości jak tryumfator. O trzy kwandranse na ósmą przybywamy do bram Saskiego Ogrodu.... Bramy zamknięte... dwóch panów czarno ubranych domaga się opłaty za wejścia. Cóż było robić... zapłaciłem. Pięć razy piętnaście czyni siedemdziesiąt pięć—rozumiesz pan? Dodatek, na który wcale nie byłem przygotowany!... Chętniebym złożył tę daninę w każdym innym razie... ale dobrowolnie. Do dobroczynności nikogo zmuszać nie należy.

— Ale jakaż na to rada, panie łaskawy?

— Bardzo prosta... Ci, co do godziny 6-ej wieczorem, zdołali się zaopatrzyć w bilety do teatru, powinni mieć wejście bezpłatne za ich okazaniem. Inni niechby już płacili za opieszałość...

— Może to i racya—pomyślałem.

. . . .

A wyścigi?

Odbyły się zwykłym trybem. Kilka tysięcy widzów przypatrywało się kilkunastu koniom, galopującym bez żadnego usprawiedliwionego powodu. Największe nagrody zdobywały konie p. Grabowskiego. Gazeta Polska utrzymuje, że nie było to szkodą koni, ale raczej zdolnego żokeja, który je na fory wyścigowe prowadził, i wnosi konsekwentnie, aby zamiast tracić czas na hodowlę koni wyścigowych, żadnego krajowi nie przynoszących pożytku, zająć się hodowaniem żokejów, które także nikomu pożytku nie przynosie

. . . .

A jarmark wełniany?

Ludny był i gwarny, pomimo że ceny owczego produktu opadły o kilka talarów niżej, w porównaniu z rokiem przeszłym. W hotelach zabrakło numerów, ulice i ogrody zapełniły się dziarskim, ogorzałym, wąsatym żywiołem, ruch w księgarniach ani na jotę się nie zwiększył, za to winiarnie, piwiarnie, jadłodajnie, magazyny strojów i sklepy bławatne, przeżyły kilka dni rajskich.

O to wszystko, co zanotowałem w chwili bieżącej.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Suknia z różowej materyi jedwabnej faille z koronką marszczoną, falbaną u dołu wyciętą w zęby, z nagłówkiem przyciśniętym pliseczką. Vêtement muślinowe białe z koronkami wstawkami i falbankami. Szarfa i pasek z jedwabnego rypsu. Kapelusz biały bastowy z rondkiem w kształcie djademu, przybrany wstążką różową z jednej, a niebieską z drugiej strony i pęczkiem różyczek po nad czołem.

Toaleta taka może być jeszcze modniejszą. jeżeli do nagłówka poddamy niebieskie jedwabne podszycie i z wierzchu pliskę niebieską. Odpowiednio do tego i szarfy powinny być podwójnéj barwy.

Fig. 2. Przybranie sukni z wełnianej piaskowéj materyi stanowi czarna jedwabna materyja i wypustki różowe jedwabne. Bryt przedni ułożony jest w bufy poprzeczne przepinane czarnemi plisami z wypustką różową. Po za bufami dana jest w około sukni szeroka woda piaskowa z czarną wypustką u góry, poniżej idzie plisowanie z czarnej materyi. Na staniku gładkim piaskowym, włożona jest kamizeleczka bez rękawów, odszyta ze wstawek écru i plis czarnych z różową wypustką, z przodu i na ramionach kokardki różowe. Kapelusz słomkowy oryginalnie przybrany woalem gazowym i różami.

Fig 3. Ubranie małej dziewczynki. Spódniczka z materjału w paski białe i lila jedwabne. Vêtement białe kaszmirowe z wyciętym staniczkiem z prybraniem w kształcie berty z lila materyi. U dołu vêtement szerokie objęcie z lila materyi, przód zapinany na guziki i kokardki lila. Kapelusik bastowy z wywiniętym w górę rondkiem, podszytem materją lila, opasany takąż wstążką i przybrany pączkami róży.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.